

MAX CZORNYJ

**NAJSZCZĘ
ŚLIWSZA**

**SPRAWDŹ, JAK NIEWIELE DZIELI IDEALNE ŻYCIE
OD PRZERAŻAJĄCEGO KŁAMSTWA.**

FILIA

MAX CZORNYJ

**NAJSZCZĘ
ŚLIWSZA**

FILIA

*Wszystkim niesłusznie skazanym.
Szczególnie tym, o których niewinności
nigdy się nie dowiedzieliśmy.*

Szczęście to nie hazard, to ciężka praca, planowanie, a poza tym coś jeszcze.

A jeżeli już hazard, to wykalkulowany.

James Clavell, *Król szczurów*

Człowiek jest skazany na wolność.

Jean-Paul Sartre, *Byt i nicność*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tamtego dnia być może była najszczęśliwsza w całym swoim życiu. Być może, bo nigdy się tego nie dowiedziałem. Ale z perspektywy czasu mam naprawdę solidne powody, żeby tak sądzić.

I nie mniej dobre, żeby sądzić całkowicie inaczej.

Tak to już jest. Karma. Jin i jang. Do połowy pełna szklanka...

Cokolwiek by mówić, równie dobrze moja żona mogła być wtedy najbardziej zagubioną osobą pod słońcem, a ja o tym, do diabła, nie miałem pojęcia.

Ta niepewność przez długi czas zżerała mnie jak robaki żrące trupa. To mocne słowa, ale doskonale oddają sytuację. Byłem martwy i jednocześnie dawałem się niepewności zrobić na szaro. Kiedy byłem gówniarzem, mówiło się o robieniu kogoś w bambuko albo balona, ale bambuko kojarzy się z czymś orientalnym, a balon z zabawą. Natomiast wtedy wszystko stało się po prostu szare i trupie.

A zatem, była szczęśliwa czy zagubiona?

Najszczęśliwsza czy najsmutniejsza?

Podobno gdy dwie osoby znają się na wylot (to brzmi dość dosadnie), nie potrafią ukryć swoich prawdziwych emocji.

Znamy się jak tyse konie (to brzmi zwyczajnie głupio) *i od razu widzę, kiedy kłamie.*

Jesteśmy małżeństwem od tylu lat, że niczego przede mną nie ukryje.

Ple, ple, ple.

Gówno prawda, pyszna naiwniario.

Ludzie potrafią ukryć przed partnerami romanse, utratę pracy i alkoholizm, więc nie ma co się łudzić. Nigdy nie możemy mieć absolutnej pewności, że znamy drugiego człowieka. Tyle zdołałem się nauczyć.

W każdym razie tamtego dnia z pełną pompą otworzyłem swój kolejny, jubileuszowy wernisaż. Pięć lat malowania dla najlepszego towarzystwa. Pięć lat tańczenia się w śmietance towarzyskiej, odbierania nagród, poklepywania po otłuszczonych plecach i ściskania spoczonych rąk. Pięć lat w wieku trzydziestu lat. Podobno odniosłem sukces.

I mam to gdzieś.

Mój najlepszy kumpel – Buda, a formalnie rzecz biorąc, Marcin Budrys – sporo się napocił, żeby zorganizować ten cudaczny spęd. Pojawili się ludzie z urzędu miasta, przedstawiciel ministerstwa kultury, paru ważniaków z piorących kasę fundacji, a przede wszystkim cała masa prawdziwych fanów. Do tego wino, krewetki i drobne przekąski nadające się bardziej na kolację

u francuskiego ambasadora niż na wieczór malarski. To galijscy biedacy ponoć dopiero niedawno odkryli dzięki nam sztuce. Ja zamiast kanapeczek wolałbym solidne pieczyste.

Pamiętam, że główne pomieszczenie było nieforemnym ośmio- albo dziewięciokątem, jednym z tych, jakie stają nam przed oczami na hasło „nowoczesna galeria sztuki”. Choć w tym światku używa się bardziej wyrafinowanych określeń. Awangardowa. Alternatywna. Innowacyjna. A ostatnio najchętniej – progresywna. Progresywna pinakoteka. A w niej tyle progresywnych kątów, załamań i cieni, że ni cholery nie ma gdzie wieszć płócien. Choć inna sprawa, że byłem dinozaurem, malując ciągle na płótnach. Fart chciał, że teraz to klasyka wywoływała skandale i krytycy potraktowali mnie, jakbym malował co najmniej na wodzie.

Siedziałem na podwyższeniu, łokciem opierałem się o okrągły stoliczek, na którym stała szklanka kranowy (po pięciu latach w biznesie nauczyłem się pijać wino dopiero po części oficjalnej), a naprzeciw mnie siadali kolejni rozmówcy. Buda nazwał to SUK-ą. Systemem Uprzejmej Konsumpcji. Ja zagadywałem, czarowałem i kupowałem gości swoim rzekomym urokiem. Dzięki temu oni kupowali mnie. Proste jak konstrukcja maszyny LOTTO.

Ale na wernisażu pojawiali się nie tylko zawodowi kupcy i kolekcjonerzy.

Po całej tyralierze progresywnych profesorów, artystów i dziennikarzy dopadli mnie prawdziwi fani. To

cholernie przyjemne, gdy ktoś z własnej woli przychodzi obejrzeć owoce twojej katorgi. Niektórych mogły przyciągnąć wino i krewetki, ale bilety w końcu nie były darmowe. I to mogłem nazwać sukcesem.

Jako pierwsza w kolejce ustawiła się młoda, może siedemnastoletnia dziewczyna. Niezdarnie wbiegła po schodkach, omal się nie wywróciła i ze wzrokiem wbitym w podłogę podeszła do mojego stolika. Na krześle wylądowała z głuchym plaśnięciem. Prawie usłyszałem, jak kości jej puszystego tyłka chrupoczą o metalowy stelaż.

Dziewczyna zrobiła się cała purpurowa. Wydaje mi się, że na jej czole widziałem szron potu. Usiadła jak guwernantka, złożyła dłonie na podołku i szybko się wyprostowała. Plecy i uda utworzyły idealny kąt prosty.

– Najbardziej podoba mi się obraz, który zatytułował pan *Sawanna polskości* – odezwała się z takim przekonaniem, że w myślach zacząłem poszukiwać tego dzieła.

Rzeczywiście, namalowałem obraz pod takim tytułem. Pewnie podpowiedział mi go Buda, bo sam zazwyczaj nie miałem zielonego pojęcia, jak opisywać te bohomyzy. Najchętniej po skończonej pracy zamykałbym je w cyklach. Gówny jeden, gówny dwa i gówny trzy. A pod spodem tryptyk miłosny. Raz, dwa, trzy. No, nie ukrywam – wewnętrzny głos kazał mi tworzyć, ale nigdy nie byłem gorącym pasjonatem własnego stylu.

– Kiedy na niego patrzę, przypomina mi się taka przypowieść z książek pani Simmons. Wie pan, to ta, która od lat dziewięćdziesiątych bada populację szym-

pansów w Sierra Leone. Opisywała między innymi zagrożone wyginięciem stado Kapana. I w tym stadzie pani Simmons zaobserwowała, że jeżeli któryś z osobników okazuje, że jest zbyt szczęśliwy, współplemieńcy go zabijają. – Ta siedemnastolatka była naprawdę wyszczekana. – Rozumie pan? Zabijają tych, którzy za dużo się śmieją, za często machają ogonem albo Bóg jeden wie, co robią. Ale przepraszam za tę paplaninę, już wracam do sedna. Naturalna eliminacja szczęścia. To właśnie widzę w pańskich obrazach.

– Naturalną eliminację szczęścia? – zapytałem, puszczając większość jej wywodu mimo uszu. Czym do cholery jest naturalna eliminacja szczęścia...

– Pani Simmons przypuszcza, że stado Kapana zachowuje się tak dlatego, że szczęśliwe osobniki tracą czujność. I podkreślają nieszczęście nieszczęśliwych. To takie trochę głupie, nie sądzi pan? Ojej... – Dziewczyna się zarumieniła. Spuściła wzrok i wbiła spojrzenie w złożone na podolku dłonie. – Strasznie pana zannudzam, ale to... takie inspirujące móc porozmawiać z kimś, czyje obrazy wzbudzają tyle emocji. Naprawdę widzę mnóstwo odniesień...

Jeżus Maria. Albo trafiali mi się świrnięci artyści deliberujący nad przesłaniem, którego sam za cholere nie znałem, albo dziewczę przyrównujące moje gówno numer dwa do zachowań szympansów. To właśnie jest świat sztuki.

Tylko że ta zestresowana, zarumieniona dziewczyna okazała się czarnym kotem. Trzynastką i rozbitym

lustrem w jednym. Wkrótce miałem pomyśleć, że moja żona jest najszczęśliwszą kobietą pod słońcem. Sam też miałem być diabelnie szczęśliwy. Dlatego stado Kapana, zwane w tej części świata pieprzonym losem, musiało się nas pozbyć.

Na amen.

MOJE ŻALE RAZ

Idą święta. Najpierw Mikołaj, potem Gwiazdka, a na koniec Nowy Rok. Bo dla mnie Nowy Rok to zawsze jest bardziej koniec poprzedniego niż początek nowego.

W Nowy Rok moja matka została zgwałcona.

To pewnie przez to. Skoro mam pisać wszystko szczerze i niczego przed sobą nie ukrywać, muszę się przyłożyć. Na papierze te kilka słów nie wygląda najgorzej.

ZGWAŁCONA.

Nawet dużymi, tfu, wielkimi literami. Ze sobą trzeba być zawsze poprawną. Pamiętaj.

Doktor Dobra Rada, plotący dyrdymały mądrała, wymyślił mi taki sposób radzenia sobie ze sobą. Już widzę, że będzie do niczego. Miałam nastrajać się pozytywnie, ale co niby miałyby wywołać durne słowo na ubabranej kartce papieru. Hm?

ZGWAŁCONA.

Litery nie niosą ze sobą żadnego przekazu. Tak nazywa się po prostu coś, co przytrafiło się mojej matce. Najgorsze są dopiero wspomnienia, ale od tych nauczyła

się podobno trzymać z daleka. Hamowało je wbijanie paznokci w podniebienie, zaciskanie palców wokół języka, a najlepiej wstrzymywanie tchu.

Tak długo, aż zaczynało kręcić jej się w głowie.

Owocem tej niezbyt wzajemnej miłości jestem ja. Jeden z kilkudziesięciu bękartów rodzących się każdego roku jako ofiary gwałtów. To brzmi trochę gorzej, ale nadal mniej tragicznie, niż jest w rzeczywistości. Rzeczywistość była taka, że moja matka mimo całej miłości, którą mi dawała (zero ironii), zabiła się, gdy powinna w najlepsze odsypiać noc po moich szóstych urodzinach. Może w słodziutkiej twarzy swojej córeczki widziała twarz oprawcy? Nie wiem.

No więc, idą święta. Miałam zapisywać co najmniej kartkę, więc niech tak będzie.

Ple, ple, ple.

Mój mąż wchodzi ze mną do sklepu. Przed sobą pcha wózek, pod pachą ściska saszetkę z portfelem wypełnionym pieniędzmi. Taki ma styl. Żadnych kart kredytowych ani innych cudów. Gotówka to gotówka, powtarza aż do znudzenia.

Odkąd wysiedliśmy z samochodu, przez cały czas rozmawia z Nikolką. Jest dumny, że tak dobrze zniosła drogę, że dobrze się czuje, a przede wszystkim, że po dawnych symptomach choroby lokomocyjnej nie ma już śladu. Trzy razy to samo na różny sposób. Ale mała oczywiście jest zachwycona zainteresowaniem ojca.

Objamy się o skłębionych w dzikim szale ludzi. W grudniu wszyscy dostają prawdziwego amoku. Żeby

sięgnąć po cholerne mleko, trzeba się przepchnąć wśród bachorów błagających matki o skondensowane mleko w tubce. Żeby wziąć podpaski, trzeba się przebić przez tłum facetów udających, że są w tej alejce tylko przypadkiem.

Święta.

Kotek uśmiecha się do mnie pokrzepiająco. Zachęca, abym brała, co chcę, byle szybko, a zaraz potem przestrzega, żeby niczego nie zapomnieć. To wspaniały facet, choć trochę narwany.

Kiedy skreślałam kolejne produkty z listy zakupów, gestykulując, tłumaczy coś Nikolce. Ma kompletnego świra na jej punkcie. Zresztą ona na jego również, o czym muszę go regularnie zapewniać.

Nagle wpadam na pomysł, żeby upiec ciasto. Lubią przecież, jak wieczorem w domu pachnie wypiekami, a potem na śniadanie z chęcią pałaszują wszystkie słodkości. Oni to lubią, a ja mogę pospać chwilę dłużej, zamiast robić śniadanie. Choć ze względu na dietę sama nawet nie tknę tego ciasta.

Sięgam po babeczki czekoladowe instant i ładuję je do wózka.

– Cześć, kochana! – krzyczy do mnie rudy chudzielec. Maria vel Mery Wilczyńska. Lat dwadzieścia osiem. Mocna siódemka w dziesięciostopniowej skali mojego męża.

– Święta? – zagaduję, jakby za tym słowem krył się tajemniczy podtekst.

– Święta – zgadza się.

Mogłybyśmy przybić piątkę. Zamiast tego całujemy się w policzki i śmiejąc się, spoglądamy sobie głęboko w oczy. Kopę lat. Nie widziałyśmy się naprawdę kawał czasu.

– Jak pięknie wyglądasz! – ekscytuję się. Rzeczywiście Maria nieco się zaokrągliła. Jest teraz lekko zaokrągloną anorektyczką.

– A tam. Nie przesadzaj...

Mój mąż delikatnie szturcha mnie w plecy. Nie lubi tracić czasu na ploty. Szczególnie jeśli właśnie niesie na barana Nikolę, a przed sobą pcha wózek.

– Kotku, może dasz nam chwilę? Tyle się nie widziałyśmy...

Jego spojrzenie mówi wszystko. Jeżeli nie podejźmiemy natychmiast do kasy, padnie na zawal albo osobiście pozbawi nas życia. Pospiesznie żegnam się z Marią i uśmiecham do Nikolki. Dziewczynka i mój mąż dostają jeszcze od niej pożegnalnego całusa, a ja zapewnienie, że lada dzień do nas zadzwoni.

– Chodź, kochanie, idziemy.

Drepczemy wzdłuż regału z owocami i stajemy na końcu ogromnej kolejki. Ktoś prosi o otwarcie dodatkowych kas, ale mimo przyzywających personel dzwonek nic się nie dzieje. Dwójka, czwórka i piątka palą się na zielono. Nieczynne jedyńka i trójka są ledwie widoczne na niepodświetlonych czerwonych tablicach.

Jedną ręką trzymam dłoń Kotka, a drugą wyciągam do Nikolki. Lubię te beztroskie wypadki na zakupy, choć

zakaz handlu w niedzielę mocno popsuł mi plany. Lubię zakupy. Ale nie tłok. Wiem, że mój mąż nie znosi marnotrawienia czasu na stanie w kolejkach. Mimo wszystko cieszę się, że wybraliśmy się wszyscy razem. To ważne. Takie szczegóły budują relacje.

Jeszcze bardziej cieszę się, widząc, że sięga po jedną z gazet rozłożonych przy kasach. Ważne, że czymś się zajmie, bo czasem zabawa z Nikolką już nie wystarcza. Czekanie szybciej mu minie i nie będzie mi robił wyrzutów. Wieczorem siądziemy w pachnącej ciastem kuchni albo...

Dość tego. Kolejka się przesuwą i zaraz trzeba będzie wyklądać towary na taśmę. Jeszcze nie. O, już.

Patrzę, jak Kotek przegląda gazetę. Szuka jakiegoś artykułu, śliniąc co chwilę opuszki palców. Przerzuca strony. Nagle jego oczy rozwierają się, a koniuszek języka oblizuje usta. Udaję, że tego nie zauważyłam. Powoli wyciągam z koszyka kolejne rzeczy. Pomidory, mleko, pierś kurczaka... A pomiędzy nimi łypię na to, o czym czyta.

Muszę się nieco przesunąć.

Nagle wypada mi z rąk okazały grejpfrut. Leci dokładnie tam, gdzie zaplanowałam. Sięgam po niego i bardzo powoli się prostuję. Kątem oka dostrzegam, że mój mąż wczytuje się w artykuł o zaginionej kobiecie. Przyrównują tę sprawę do jakiejś zbrodni sprzed lat. Widzę wielkie litery nagłówka:

TAJEMNICZE ZAGINIĘCIE CZY DZIEŁO PSYCHOPATY?

TAMTEGO DNIA BYĆ MOŻE BYŁA NAJSZCZĘŚLIWSZA
W CAŁYM SWOIM ŻYCIU. BYĆ MOŻE, BO NIGDY SIĘ
TEGO NIE DOWIEDZIAŁEM.
ZAMIAST TEGO STAŁEM W LEPKIEJ I CIEPŁEJ KAŁUŻY.
MOJA ŻONA I DZIECKO NIE ŻYLI.

Dawid Kaster dostaje list od byłej żony. Problem w tym,
że Ilona została zamordowana cztery lata temu.
Mimo to charakter pisma i treść nie pozostawiają
wątpliwości. To musi być ona.

Krótką wiadomość przywołuje demony przeszłości.
Na tym jednak nie koniec, bowiem mężczyzna wkrótce
otrzymuje kolejny niespodziewany prezent.

Czy zabójca Ilony prowadzi z Dawidem sadystyczną
grę? A może kobieta żyje, a cztery lata temu doszło do
niewyobrażalnej pomyłki? Z każdą kolejną wskazówką
Kaster jest coraz bliżej odkrycia prawdy.
A ta zaprowadzi go wprost do piekła.

Sprawdź, jak niewiele dzieli idealne życie od
prerażającego kłamstwa.

cena 44,90 zł

mrocznastrona.pl
wydawnictwofilii.pl



FILIIA MROCZNA
STRONA

ISBN 978-83-8357-560-5



9 788383 575605